

*Incipit et explicit*

Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby braciszek Gregorius nie zabrał mnie ze sobą na pokutną peregrynację do Ziemi Świętej. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby w podróży powrotnej nie rozpętał się nagły, długotrwały sztorm i nie połamał masztów statku. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby kapryśne prądy morskie nie poniosły nas, bezsilnych rozbitków, ku iberyjskiemu wybrzeżu. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy w Walencji, gdzie wreszcie dotarliśmy do lądu, nie dołączyli do kupieckiej karawany podążającej do Saragossy, lecz ruszyli do Barcelony. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy szukając noclegu na przedmieściach Saragossy, trafili do zwykłej gospody, a nie pod dach starego Maura. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym nie uległ swojej słabości do ksiąg. Wszelako, wszystko potoczyło się właśnie tak. Maurowie powiedzieliby pewnie – *ma sha'a allah*. Ja jednak nie wiem, czy tego właśnie chciał Bóg...

Kiedyśmy już odpoczęli i się posilili, Alabid Alkutub, który zaoferował nam gościnę, zapalił oliwną lampę i zaprowadził nas do niewielkiej komnaty bez okien. Pachniało w niej kurzem, drewnem i dobrze wyprawioną skórą. Kiedy gospodarz podpalił knoty kilku świec rozstawionych w różnych częściach pomieszczenia, oniemieliśmy. Na półkach trzech dużych armariów stały pergaminowe cuda. Naszym oczom ukazały się prawdziwe skarby! Brat Gregorius wyciągnął drżącą z emocji rękę ku jednemu z tomów leżących na pulpicie. Nim jednak dotknął jego oprawy, spojrzał pytająco ku naszemu gospodarzowi. Ten zaś skinął przyzwalająco głową. Uśmiechał się z nieskrywanym zadowoleniem widząc zachwyt benedyktyńskich mnichów. Wstrzymując oddech mój towarzysz rozchylił okładki książki, którą już kiedyś widział. Przed laty, kiedy spędził prawie rok u braci w regule, na szczycie Monte Cassino, poznał tę księgę i tam stała się jego ulubioną. To pod jej wrażeniem został najpierw skrybą, a potem librariusem. Korzystał skwapliwie z zaleceń jej autora, Humberta de Romans, kiedy tworzył bibliotekę w nowym klasztorze, ufundowanym przez pomorskiego księcia na gościnnej kaszubskiej ziemi. Latami wzbogacając jej księgozbiór nadal kierował się bezcennymi radami z *De vita regulari*. To dzięki wiedzy z tej lektury zabezpieczył tworzoną bibliotekę potężnymi wrotami z ciężką sztabą. Dębowe drewno drzwi okuto pasami żelaza. Z tego metalu wykonano też grube kraty w nielicznych i malutkich oknach biblioteki. Dodatkowo chroniły je zamykane do wewnątrz masywne okiennice. Tak nauczył go chronić czytelniczne skarby brat Humbert, generał zgromadzenia Psów Pańskich. I oto, po latach, znów trzymał w dłoniach ten wspaniały tom.

Alabid towarzyszył naszym westchnieniom i okrzykom zdumienia przez dłuższy czas. Potem musiał udać się do innych obowiązków. Opuszczając komnatę przeproszał nas wielokrotnie, życzył wielu odkryć, udanych studiów i zaprosił na wieczerzę. A wszystko to przekazał w niemal nienagannej łacinie. Bez wątpienia był starannie wykształcony, ale też zadziwiająco ufny. Na jego miejscu raczej nie zostawiłbym obcych ludzi z takim skarbem. Pożegnania słuchaliśmy dość nieuważnie, bowiem księgi pochłonęły nas bez reszty. Czegóż tam nie było! Samych psalterzy, tak cudownie iluminowanych, jakby to uczynili sami aniołowie, naliczyłem siedem! I tyleż brewiarzy, w tym dwa zdobne aksamitem, a jeden w niezwykle praktycznej oprawie sakwowej – marzenie każdego pielgrzymującego mnicha. Obok tych ksiąg świętych, jakby nic sobie nie robiąc z ich towarzystwa, stał słynny *Picatrix* al-Majritiego. W dwóch egzemplarzach! Mieliśmy przed sobą zarówno arabski oryginał, jak i łacińskie tłumaczenie tej czarnoksięskiej księgi dokonane przez Alfonsa Mądrego. A jeszcze, prócz porządnie poustawianych w szafach kodeksów, były skrzynie pełne zwojów. Od mnogości wielobarwnych floratur, bordiur, drolerii i inicjałów zaczynało mi się kręcić w głowie.

Jako, że komnata z księgami nie miała okien, nie wiedzieliśmy ile spędziliśmy w niej czasu. Uświadomił nam to dopiero Alkutub, który wróciwszy wskazał na ogarki dopalających się świec. Musiał być zatem wieczór. Okazało się, że jest późna noc. Gospodarz po raz kolejny przeproszał nas gorąco za swoje zaniedbanie, pozostawienie nas bez jedzenia i towarzystwa. Na wieczerzę było zdecydowanie za późno, okazało się jednak, że i niektórzy Maurowie wiedzą czym jest podkurek. My zaś, choć nawykliśmy do skromnego jadła i klasztornej dyscypliny, nie odmówiliśmy zaproszeniu do stołu. Widać długie obcowanie z księgami kosztowało nas sporo sił, bo ciała same domagały się pokrzepienia. Zwłaszcza, że przecież planowaliśmy następnego dnia wyruszyć w dalszą podróż.

Podczas posiłku rozmawialiśmy we trójkę. O księgach – a jakże, bo o czym innym by warto rozmawiać po takim dniu! Brat Gregorius, który znał sporo słów arabskich, szybko zorientował się, że imiona naszego gospodarza doskonale oddawały jego pasję, bowiem musicie wiedzieć, że „Alabid Alkutub” przekłada się na naszą mowę jako „Wielbiciel Ksiąg”. Maur kochał księgi i niechętnie się ich pozbywał, choć z handlu nimi uczynił źródło swoich dochodów. Te najpiękniejsze zawsze zachowywał dla siebie. Okazał się też niezrównanym gawędziarzem, o każdym swoim nabytku miał do opowiedzenia jakąś zajmującą historię. Były dla niego jak rodzone dzieci. Znał ich pochodzenie, dobre i złe koleje losu, najmniejsze rany na oprawach i razurowe blizny na kartach. Jego słowa coraz bardziej rozpały naszą wyobraźnię i ochotę na dłuższy tu pobyt. Chcieliśmy wziąć do rąk wszystkie te dzieła, o których tak barwnie mówił ich właściciel.

Nadchodził brzask, a my nadal nie spaliśmy. Wierciliśmy się obaj, choć posłania były wygodne. Najwyraźniej nie umieliśmy stawić czoła pragnieniu dłuższego obcowania z tą wspaniałą biblioteką na obrzeżach aragońskiego miasta. Razem uklekliśmy do jutrzni, jakby szukając w słowach modlitw potwierdzenia dla decyzji, którą już w istocie podjęliśmy. Zostaniemy w Saragossie. Tak długo, aż nasycimy się bliskością i treścią cennych rękopisów. Po tej nocy pierwszy raz poczułem się więźniem biblioteki. Dobrowolnym.

Przy śniadaniu brat Gregorius nieśmiało zaczął podpytywać Alabida o możliwości dłuższego obcowania z jego zbiorami. Obawialiśmy się, że odpowiedź może być negatywna, zwłaszcza, że nasze sakiewki srebrem już nie brzęczały. Łatwiej w nich było trafić na połamane miedziaki niż uczciwego denara. Wysłuchawszy do końca przemowy z kamienną twarzą, Maur zerwał się gwałtownie. Napięcie wisiało przez chwilę w powietrzu, aż nagle rozłożył szeroko ramiona i jeszcze szerzej się uśmiechnął. W końcu krzycząc – *Aeazu al'ikhwa!* Bracia najdrożsi! – brał nas po kolei w objęcia i serdecznie ścisnął.

W istocie staliśmy się mu rodziną. Innej nie miał, bo wszystkich bliskich zabrała mu czarna śmierć, która przetoczyła się przez Aragonię kilkanaście lat wcześniej. Któregoś wieczoru ze łzami w oczach opowiadał o śmierci żony i czwórki dzieci. Gotów był oddać wszystko co miał, byle ich uratować. Jednak pieniądзом brakowało mocy powstrzymywania dżumy. Nie dało się za nie kupić życia. W swoich księgach, z których wiele dotyczyło medycyny, także nie znalazł odpowiedzi jak zapobiec pojawianiu się ropnych pęcherzy u kolejnych dzieci i w końcu też na skórze Asali.

– Asala, Asala, Asala... – niemal szlochał wypowiadając imię zmarłej żony, by po chwili zaśmiać się ponurym, gorzkim śmiechem. – Wiecie, co w moim języku oznacza jej imię?

Pokręciliśmy przecząco opuszczonymi głowami

– „Czysta”. Zanim zachorowała, jej ciało było alabastrowe, a skóra gładsza niż cokolwiek innego na świecie. Poznaliśmy się na targu w Barcelonie, bo w tym mieście oboje wówczas mieszkaliśmy. Pokochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. I nic nie mogło powstrzymać naszej miłości, nawet to, że ona była chrześcijanką, a ja wyznawcą Allaha. Dla niej gotów byłem gotów zaprzeć się swojej wiary, samego siebie. Ale to ona mnie uprzedziła. Któregoś dnia wzięła mnie za rękę i patrząc głęboko w oczy wypowiedziała te słowa: *lā 'ilāha 'illā-llāh, muḥammadun rasūlu-llāh*. Trzykrotnie. Nie ma boga prócz Boga jedynego, a Mahomet jest jego Prorokiem. Stało się. Przestała być Alejandrą, a stała się Asalą. Oczywiście nie mogliśmy zostać w Barcelonie. By być razem uciekliśmy. Trafiliśmy właśnie tu, na przedmieścia Saragossy. I tu urodziły się nasze dzieci. Nie ma już Asali, nie ma już dzieci! *Ma sha'a allah...*

Alabida pchnęła ku nam przejmująca samotność, oraz równa naszej, niepoohamowana miłość do ksiąg. I to właśnie dla niej, *nolens volens*, porzuciliśmy swoje zgromadzenie zakonne.

Mieliśmy pozwolenie na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, a znaleźliśmy się w Aragonii. Ze ślubów złożonych Bogu nikt nas nie uwolnił, więc zdawaliśmy sobie sprawę, że kiedyś będziemy musieli spojrzeć tej prawdzie w oczy. Nie rozmawialiśmy jednak o tym. Żaden z nas nie chciał tego robić. Przynajmniej na razie...

Dostaliśmy osobne izby sypialne, nie brakowało ich w tym dużym domu. I mogliśmy tu zostać, tak długo jak mieliśmy ochotę. Gospodarza najwyraźniej cieszyła nasza obecność, choć najwięcej czasu spędzaliśmy w towarzystwie ksiąg. A jedna z nich wpadła mi w oko już podczas pierwszej bytności w komnacie z armariami. Rozmiarem była niepozorna, zaledwie *in octavo*. Okładki miała dość skromne, bez złotych okuć, bez kamieni szlachetnych, bez jakichkolwiek inkrustacji, a jednak intrygujące. Była jedną z tych *libri catenati*, przykuwanych do stołu łańcuchami i ciężkimi kłódkami, jak galernicy do wiosł. Jednak to nie okowy zwróciły moją uwagę. Od smoliście czarnych okładek bił subtelny blask, jakby lśniły. Nietypową oprawę wykonano z hebanowych desek pokrytych od zewnątrz skórą czarnej kobry. Wnętrze skrywało zaledwie sto kart, ale za to z najdelikatniejszego welinu jaki miałem w rękach. Kiedy zapytałem brata Gregoriusa, z czego robione są takie weliny, odpowiedział, że to bardzo kosztowna skóra pochodząca z nienarodzonych cieląt. Wzdrygnąłem się na te słowa. Niezwykłe było również to, że karty księgi były zabarwione na czarno, a tekst napisano złotym inkaustem. Niestety po arabsku, w języku, którego nie znałem. Jednak nie przeszkadzało mi to w oglądaniu jej wciąż na nowo. Alabid dostrzegł moje zainteresowanie i dyskretnie starał się kierować uwagę w inną stronę. Nigdy też nie opowiedział historii księgi, do której tak lgnąłem. Mimo to, nieustannie znajdowałem czas, by pobyć z nią choć przez chwilę. Niepostrzeżenie stawiałem się jej więźniem, może nawet niewolnikiem. Nie było dnia bym nie dotykał jej okładek. Delikatnie je pieściłem, zawsze czując przy tym dreszcz przyjemności.

Pozostając pod urokiem czarnej księgi, zacząłem się uczyć arabskiego, by przez znajomość tego języka poznać ją lepiej, dowiedzieć się, co będzie mi miała do powiedzenia. Niełatwa to była nauka, a wybór tego manuskryptu na poznawanie nowego języka okazał się złym pomysłem. Dzień po dniu mozolnie poznawałem litery i próbowałem zbierać je w słowa. Jednak litery układały się bardzo często w wyrazy o niezrozumiałym dla mnie znaczeniu, lub zgoła całkiem mi nieznane. Coś jednak powstrzymywało mnie przed szukaniem pomocy u Gregoriusa, czy starego Maura. Chciałem być z księgą sam na sam. Potajemnie nauczywszy się otwierać kłódkę, zacząłem nocami uwalniać księgę, by przenieść ją do swojej komnaty sypialnej. W samotności brnąłem przez czerń jej kart. W ciemność, w której się coraz bardziej pogrążałem, nie zdając sobie z tego sprawy.

W tę jesienną noc księżyc był w pełni, a chmury, które przez ostatnie kilka nocy kryły niebo, zupełnie się rozwiały. Było tak jasno, że mógłbym czytać księgę bez pomocy świec.

Znów próbowałem składać słowa z czarnej księgi. Poruszając ustami szeptałem cichutko.

– *De al'aghlal tasqut min yadik* – miałem wrażenie, że w tej chwili w komnacie pociemniało i zrobiło się chłodniej.

– *'Uetik alhuriya. Ueal waleaysh!* – kiedy wypowiedziałem te słowa z moich ust wydobyła się para, a na skórze pojawiła się gęsia skórka. Zacząłem drżeć. Nie tylko z zimna. Kątem oka dostrzegłem, albo może tylko poczułem gęstniejący, materializujący się mrok. Przez cały dom przebiegło lodowate tchnienie, a w mojej głowie zahuczał niski głos, boleśnie rozsadzający czaszkę.

– Jam jest przedwieczny Kutrub – Pożeracz Ciał i Wysysacz Duszy! Przybywam z bezkresnej pustki, by wreszcie nasycić swój nieskończony głód, by wylać z siebie gniew uwięzienia. Będzie płacz, zgrzytanie zębów, a ziemia spłynie krwią. Nie oszczędzę ni starców, ni kobiet, ni dzieci człowieczych. Ty przeżyjesz, boś jest pierwszą istotą od stuleci, która wypowiedziała na głos Słowa Uwolnienia. Nigdy już nie opuścisz tych murów, a póki żyjesz, nikt inny w nie nie wstąpi. Żyj i ciesz się dniami, które ci pozostawiłem, marny śmiertelniku.

Demoniczny głos w mojej głowie nagle umilkł, a ból ustąpił. Po chwili przez dom przetoczyły się przerażające okrzyki cierpienia jego mieszkańców, a zaraz potem nienaturalnie głośny chrzęst kruszonych kości. I śmiertelna cisza. Nie miałem najmniejszych wątpliwości co do losu brata Gregoriusa i Alabida. Nie znalazłem w sobie dość odwagi, by ruszyć ku nim, by osłonić ich swoim ciałem, by zginąć wraz z nimi. Postąpiłem jak tchórz. Bo też większego lęku jaki wówczas czułem, nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

Kiedy otrząsnąłem się z szoku i zrozumiałem, co zaszło, chciałem szukać słów zaklęcia, które zniszczyłyby demona lub chociaż go odwołało. Był przecież przez wieki uwięziony, więc pewnie można go było spętać ponownie. Czarna księga jednak znikła wraz z demonem, a z tych, które pozostały nie dowiedziałem się, co robić. Nie udało mi się też opuścić domu. Przy każdej próbie odbijałem się od jakiejś niewidzialnej bariery, która także nie przepuszczała moich krzyków. Nikomu z zewnątrz również nie udało się dostać do środka, choć nawet nie wiem, czy ktoś próbował. Po tej przeklętej nocy nie zobaczyłem bowiem już ani jednego człowieka. Czy w Saragossie ostała się jakaś żywa istota? Nie chciałem nawet myśleć o ich losie, gdyż wciąż miałem w pamięci to, co zostało z moich przyjaciół po spotkaniu z demonem.

Zostałem więźniem, jednak nie to mnie nurtuje. Czy po mojej śmierci, która nastąpi rychło, bo kończą się zapasy wody, zaklęcie ustąpi i ktoś będzie mógł wejść do domu? Mam nadzieję, że wtedy znajdzie się jeszcze na świecie ktoś, kto mógłby znaleźć te zapiski. Oby udało mu się powstrzymać ghula, którego przez swoją głupotę i lekkomyślność przywołałem. Jedyne co mogę zrobić, to prosić wszystkich ludzi o wybaczenie. Niech Bóg ma was w opiece!

*frater Johannes Chleprevius*